16. Marca. r. 1822.

WANDA

Nr: 11.

TYGODNIK POLSKI.

Blondyn z Namiur.

Powieść Prawdziwa.

z Pamiętników tajnych pewnej Xiężny Francuzkiej.

MATKA i SYN.

W pięknem mieście Namiur we Flandrji, żyła na ustroniu cicho i spokojnie stara poczciwa wdowa. Kto jej niewidział w małym handlu bawełnianym, albo na mszy na którą codzień chodziła, ten o niej pewnie nic niewiedział. I kto wie, możeby Pani Le Blond umarła tak nieznana jak żyła, gdyby niemiała syna który bez swojej wiedzy, ściągnął na siebie we dwudziestym piątym roku życia uwagę całego miasta a przynajmniej piękniejszej jego połowy. Był on dobry chłopiec; Pani Le Blond wychowała go pobożnie; oprócz matki i bliższych krewnych niewidywał prawie nikogo,

a przynajmniej u nikogo niebywał, niemiał nigdy wiele pieniędzy przy sobie, bo Pani Le Blond niedostała nic po mężu, a mały bawełniany handel nie wiele przynosił. Był skromnym w życzeniach, pracowitym, uczciwym i pojętym. Ale te wszystkie cnoty niebyły by go wsławiły, gdyby na dwadzieścia a nawet i trzydzieści mil wokoło, niebył najpiękniejszym młodzieńcem, Dla czego i jakim sposobem był tak pięknym? to się odgadnąć nieda; dość na tem, że każdy kto spojrzał na szlachetną i hożą jego postać, kto się przypatrzył dziwnie przyjemnym rysom jego twarzy, kto widział pogodne spojrzenie błękitnego oka, musiał wyznać że jest piękny. Przez wzgląd na jasne włosy zwijające się w złociste pierścienie, nazywało go całe miasto nie Panem Le Blond, ale po prostu Blondynem. Była podówczas moda że każdy młody Panicz nosił peruczkę; Pani Le Blond przez oszczędność słyszeć o tem niechciała, nie sprawiała synowi swemu peruczki i pozostał przy swoich włosach, co każdy a raczej każda znajdowała rzeczą sprawiedliwą.

Uczciwy chłopak nietroszczył się o to bynajmniej jakby mu bardziej do twarzy było. Myślał że jest człowiekiem tak jak i drugi, i niewiedział że w całym mieście oczy i serca zachwycał. Nie dziwił się wcale że na niego mężatki i panny znie-

przymuszoną dobrocią spoglądały, bo do tego od dzieciństwa był przyzwyczajony; a że mu grzeczność kobiet niebyła obcą, więc też nad nią żadnych uwag nieczynił. Kiedy żywe jego sąsiadki wchodziły z nim w dłuższe rozmowy, myślał sobie: Gadają ze mną, bo lubią gadać, bo są kobiety." Gdy ta lub owa przez roztrzepanie lub zapomnienie w rozmowie rękę ścisnęła, ścisnął ją na wzajem, i spokojnie odejść jej pozwalał.

Odchodziły i przychodziły kobiety często i z ochotą, a nawet z bogatszych domów, do handlu Pani Le Blond i kupowały różne towary. „Widzisz moje dziecię — powtarzała matka — Bóg błogosławi naszą pobożność, uczciwość i pracę."

Syn dziękował za to Bogu codziennie. Mimo tego osobliwszą zdawało się rzeczą że to błogosławieństwo Boskie, jak go Pani Le Blond nazywała, często bardzo dziwącznem było; bo bez wątpienia matka była tak pobożną, tak uczciwą, tak pracowitą jak i syn, a przecież, gdy została sama w sklepie rzadko o cenę towaru zgodzić się mogła. Mówiono jej zawsze to za nadto słone, to za drogie; przeciwnie synowi, lubo tyleż co i matka żądał płacono zaraz wcale się z nim nietargując. „Cóż robić — mówiła matka — jestem już stara, nudna, słaba kobieta. Ty umiesz łatwiej się wygadać. Najlepiejby było, gdybym już sobie

osiadła na spokojności. Długo gospodarowała, handlowała, targowała się, zarabiała. Teraz ty pracuj. Weź sobie żonę, a mnie wyżywicie do śmierci.“

Bardzo się podobał synowi ten plan. Wiedział że od początku świata był odwieczny zwyczaj żenienia się, więc myślał o tem że kiedyś przyjdzie kolej i na niego.

NIEPEWNOŚĆ BŁONDYNA.

„Ale kogóż tu sobie wybrać za żonę? —

„Zostaw mnie to staranie — odpowiedziała matka, ja ci żony dobiorę.“

„Ej matko! przychodzi mi myśl szczęśliwa! ożenię się z Marysią moją stryjeczną siostrą. Wszak wiesz matko, że stryj już oddawna powiadał, że ze mnie i z Marysi musi być para. Jeszcze byliśmy dziećmi, a jużeśmy się nazywali mężem i żoną. Stryj przed kilką dniami mówił o tem zemną.“

„I zemną — rzekła Pani Le Blond: ależ moje najdroższe dziecię nic z tego nie będzie, a to dla stupięciudziesiąt przyczyn. Naprzód: Póki nam nasz handel szedł źle, stryj ani słówka o małżeństwie nie wspomniał, ani nawet u nas nie postał; teraz gdy widzi, że nam się dobrze powodzić zaczyna, wygrzeczniał mądry Jegomość, ale ją mu

dawnego z nami postępowania nigdy nie zapomnę. Powtóre: Marysia jest bardzo dobra dziewczyna, oszczędna, gospodarna, ale niema nic. Kupiec niepowinien się pytać kto jest jego żona, ale co Doma. Ona niema majątku, i ty go niemasz. Dodaj zero do zera będzie zero. Potrzecie. Jesteś jej stryjecznym bratem; wszystkie prawa boskie i ludzkie sprzeciwiają się tak bliskiemu połączeniu, a choćby i pozwalały, ja nigdy nie przystanę. Poczwarte..."

„Już dość, moja matko — odpowiedział Blondyn. Tak mi to tylko przez myśl przeleciało, wybierz mi inną."

Jakoż w kilka dni Pani Le Blond znalazła dla syna inszą żonę. Córkę bogatego Kotlarza Paulet. Dziewczyna była bogata, ale brzydka jak noc. Pudło w tyle, trąd na twarzy, były to jeszcze najmniejsze jej nieprzyjemności. Dlatego lubo już miała trzydzieści lat z okładem, lubo jest na świecie wielu amatorów na grosiwo, przecież nikt nie chciał poświęcić się na to aby zostać jej mężem. Kotlarz Paulet przyjął natychmiast ofiarę Pani Le Blond, a panna Paulet, która już straciła nadzieję żeby się w czterech częściach świata znaleźć mógł jaki czciciel jej wdzięków, dowiedziawszy się że ma pójść za pięknego Blondyna, ze skromności i ukon-

tentowania tak zapłonęła, iż cała jej twarz z siniała.

Biedny Blondynek usłyszawszy jaki mu skarb matka przeznacza o mało ze strachu nie zemdlał; nakoniec ochłonąwszy z przerażenia i zgrozy rzekł: Najdroższa matko nie stopiędziesiąt ale powiem ci miljon przyczyn dla czego nie chcę i nie mogę pojąć za żonę pannę Paulet. Naprzód. Skoro o niej pomyślę dostaję gorączki, powtóre mdłości, potrzecie zawrotu głowy, po czwarte dreszcz mię przechodzi, po piąte...“

Hola! hola! — zawoła Pani Le Blond niechcąc słuchać reszty przyczyn, ty mówisz jak aptekarz, a nie jak kupiec. Przerachuj tylko, gdy w handlu dziesięć razy na rok obrócisz gotowizną twojej przyszłej małżonki, cóż będziesz miał?“

Matka z synem niemogli się zgodzić w rachubach. Pani Le Blond szukała dowodów z głowy, syn z serca; z tąd tysiączne w domu swary i niespokojności. Matka dziwaczyła co dzień więcej, syn był co dzień smutniejszy. Lubo już była przykra pora roku wychodził często na przechadzkę, i gdyby go wdzięczność dla matki niewstrzymywała, możeby był na zawsze opuścił jej dom. Raz już do tego miał nie małą ochotę.

ZJAWISKO.

Pewnego rana podług zwyczaju poszedł na mszą do Kościoła. Niedaleko niego klęczący modliła się kobieta bogato ubrana zasłoniona woalem. Lubo oczy miała w Xiążkę wlepione, widać jednak było z jej twarzy że się niemodli z uwagą. Spoglądała często na Blondyna, poczem szepnęła coś do ucha sąsiadce, i znowu zwracała oczy na niego.

Widział to Blondyn, ale mało na to zważał. Rzekł sobie w duchu. „Ah! ta Pani jest pewnie piękniejszą niżeli skarb mnie przeznaczony.“ Ale to samo myślał i mówił do siebie na widok każdej kobiety, a to wspomnienie serce jego zakrwawiało.

Gdy wychodził z kościoła uważał z radością iż powstawały także i odchodziły damy, które się mu tak długo przypatrywały. Kilku Panów szło za niemi z oznakami najgłębszego uszanowania, podali im ręce do karety, sami siedli do drugiego powozu i odjechali. Z pięknych pojazdów i kosztownie ustrojonych służących miarkował Blondyn że to muszą być jakieś znakomite osoby.

To przemijające zjawisko tem większe na nim uczyniło wrażenie, że je ujrzał znowu na zajutrz. Gdy dla rozproszenia trosk swoich udał się do niższej części miasta, przyszło mu na myśl pójść do zam-

ku. Na stopniach góry spotkali go ci sami Panowie których widział w kościele, a powozy ich czekały niżej. Gdy idąc dalej pod górę wstępował na drugi zakręt ujrzał jak naprzeciwko niego szła taż sama kobieta którą modlącą się widział. Rozmawiała z przyjaciółką, schodziła z wolna po schodach oglądając się nieustanie, bo z tego pagórka piękne wydaje się całe miasto Namiur, leżące po między dwoma górami i oblane w około rzeką Sambre, Maus i rzeczką Vederin.

Ale kobiety z stępujące ze schodów niepowinmówić wiele ani się oglądać. Łatwo stąpić fałszywie tym bardziej gdy schody pokryte śniegiem są śliskie. Kobieta zakwefiona dała tego nieposlédni dowód. Padła na stopień wydając głośny okrzyk. Blondynek spiesząc jej na pomoc prędko przeleciał schody, i podniósł ją zręcznie; cudzoziemka w grzecznych wyrazach podziękowała mu za to, a oparłszy się na jego ręku powoli zstępowała z góry. Przez upadek stłukła sobie nogę; musiała więc często stawać i odpoczywać. Zadawała grzecznemu Blondynowi rozmaite pytania, i dowiedziawszy się między innemi że ma handel bawełniany, oświadczyła mu iż radaby coś kupić, prosiła go więc ażeby przyszedł do niej z najpiękniejszemi towarami, wymieniła mu hotel w którym stoi, i godzinę o której ją zastanie, dodając mu żeby

się pytał o Hrabinę St. Silvain. Możeby jeszcze była dłużej rozmawiała z Blondynem, ale ją spotkali Panowie, niespokojni że się tak długo spóźniła, opowiedziała im cały swój nieszczęśliwy przypadek. Panowie mocno przelęknieni odprawadzili ją z największą ostrożnością do powozu i odjechali. —

Blondyn wróciwszy do domu, opisał matce całe zdarzenie; nazajutrz o naznaczonej godzinie poszedł z towarami do wskazanego hotelu, dopytał się o Hrabinę St Silvain, i został wprowadzony do jej pokoju. Była tak samo ubrana jak w dzień w którym ją pierwsoy raz ujrzał. Prędko obrała sobie towary, zapłaciła ile żądał, dodała mu jeszcze kilka czerwonych złotych za to iż sam przyszedł aż do jej mięszkania, i zaczęła go znowu wypytywać się o wszystko jak poprzedzającego dnia na górze zamkowej. Dowiedziawszy się od niego iż jeszcze dotąd w życiu swojem nieoddalił się nigdy z Namiur rzekła Hrabina. „Wejdz w moją służbę. Zwiedzisz zemną całą Francją. Wyznaczę ci większą pensją, niż możesz mieć dochodu z twego handlu. Będziesz Sekretarzem moim i mężo mego.“

To wszystko wyrzekła tak słodkim, tak przyjemnym głosem, iż Blondynek zaledwie że niedał się uwieść; tym bardziej gdy obok pięknej postaci

Hrabiny stanął mu przed oczyma obraz Panny Paulet troche przez nos mówiącej. Ale jakże opuszczać starą, schorzałą matkę; tego niemógł przewieźć na sercu. A lubo już z tysiąc razy przysiągł sobie iż wolałby uciec w świat niż oddać rękę córce bogatego Kotlarza, odmówił przecież Hrabinie, oświadczając iż podeszłej matki opuszczać niem że.

Ale też wróciwszy do domu chlubił się z tak wielkiej ofiary przed matką. Pani Le Blond która od syna przywiązania pewną była, rzekła: „Idź, jeśli chcesz niewdzięczny, ale pannę Paulet musisz wziąść za żonę; widzę że od tego zależy twoje szczęście, a z Panem Paulet już tak daleko zaszliśmy w układy, iż bez uczynienia mu wstydu, cofnąć się nie możemy.“

Blondynek tą nieczułością matki do żywego tknięty, pobiegł zaraz nazajutrz do Hrabiny, ale bardzo powoli i smutno powrócił do domu, bo Hrabina już odjechała.

NIESZCZĘŚCIE.

Wkrótce zapomniał o zjawisku, ale Pani Le Blod niezapomniała o pannie Paulet. Można się jednak do wszystkiego przyzwyczaić. Blondynek słuchał codziennie o związku z panną Paulet i codziennie powtarzał: Nie. Tak upłynął rok, a potem zdarzyło się inne nieszczęście.

Ludwik XIV. Król Francuzki z armjami swemi wyruszył sam w r. 1692 pod Namiur i zapomocą kilku set cetnorów prochu zniweczył wszystkie ślubne plany Pani Le Blond. Po osmiu dniowem oblężeniu zdobył miasto, a po dwudziestudwóch dniach zamek. Na odgłos jego wielkości taki wszystkich mięszkańców opanował przestrach że drżeli jak liście, a Pani Le Blond ze strachu zasłabła i wkrótce umarła.

Blondynek był wprawdzie Królowi Francuzkiemu bardzo wdzięczny za to, że z wojskiem raczył się wdać, do zerwania jego małżeństwa, czuł jednak mocno stratę matki. Dobra kobicina zostawiła mu większy daleko majątek niżli się spodziewał. Bez jego wiedzy oszczędziła kilka pięknych ważnych rulonów złota, które właśnie wystarczyły Blondynkowi na przyprowadzenie do skutku dawnego przedsiewzięcia, to jest rozszerzenia swego sklepu i przeniesienia go na znaczniejszą ulicę. Jakoż nieminął miesiąc gdy Blondyn wyprowadził się ze swego małego sklepiku i najął skład wielki, ozdobny, na najpierwszej ulicy i do handlu swego dotąd tylko bawełnianego, przydał jedwabny i galanteryjny. Jego znajomi i znajome i tam go znaleźli.

W nowem pomięszkaniu i to go niemało cieszyło że miał w tyle ogródek, bo kochał się w kwia-

tach. Ten ogródek z lewej strony, z prawej i z tyłu przytykał do inszych ogrodów, oddzielonych tylko od siebie żywym płotem. Tak więc zdawać się mogły wszystkie ogródki jednym wspólnym ogrodem. W ogródku Blondyna była altana obsadzona jaśminem. Tam postanowił przepędzać najpiękniejsze godziny życia, i uczyć się języka Włoskiego ażeby mógł później równie z innemi kupcami Flandrji, pisać do Włoch po towary. Właściciel pięknego domu którego dół najął nasz Blondyn, był znakomitym urzędnikiem, i zatrudniony obowiązkami urzędu niepytał się wcale o swego komornika.

Handel szedł przecudownie. Znajome Blondyna niezostawiały mu chwili wolnego czasu, zawsze miały coś w sklepie do oglądania, do targowania, do kupowania. Blondyn był codzień piękniejszy, a Obywatelki Miasta Namiur utrzymywały, iż jego skład jest najlepszy i najtańszy w całem mieście.

Nie tak dobrze szło z nauką języka Włoskiego. Niebyło nauczyciela Włocha w całem Namiur, samemu uczyć się było trudno, gdy w tym nauce jego niespodziana przeszkoda na drodze stanęła. —

PRZESZKODA.

Kiedy bowiem pewnego ciepłego wiosennego

poranku z Grammatyką Włoską w ręku podług zwyczaju swego zbliżał się do jaśminowej altanki, i już z całego serca uczyć się myślał, i gdy właśnie wchodził do niej, zastaje w cieniu siedzącą młodą dziewczynę z książką w ręku uczącą się pilnie. Miała może ośmnasty rok, piękna i biała jak lilja, słowem była to dziewczyna jakiej młody Le Blond nigdy niewidział; bo niełatwo można gdzie zobaczyć tak czysty śnieg na szyi i twarzy, lica zarumienione tak pięknym karminem, usta jak żar, oczy jak sadze, rzęsy w kształtnym łuku jakby chińskim tuszem odmalowane, a na białym jak mleko czole czarne z włosów pierścienie.

Blondynek oniemiały stanął jakby wryty. Niemniej strwożoną była piękność nieznajoma na widok nadobnego młodzieńca, który jej spadł jak gdyby z obłoków. Na jej twarzy malowało się takie zadumienie iż się zdawało jakoby nigdy w życiu swojem niewidziała Blondyna. Zmięszana ukłoniła mu się grzecznie, i on powtórzył ten ukłon, poczem oboje zaczęli się po tysiąc razy przepraszać, nieobraziwszy się bynajmniej. Nakoniec przyszło do rozmowy. Piekna nieznajoma prowadziła ją z żywością ale cokolwiek niezrozumiale, mówiła po francuzku jak cudzoziemka mięszając mnóstwo włoskich wyrazów. Jednakże w krótce oboje zrozmowy doszli, iż są sąsiadami, iż ogród

leżący za ogródkiem Blondyna należy do wielkiego domu stojącego na ulicy Stego Fiakra, że Le Blond przyszedł do altany uczyć się po włosku, a piękna nieznajoma przyniosła z sobą Grammatykę Francuzką bo dopiero od trzech miesięcy przyjechała z Włoch, i chciała ile możności pojąć francuzów mowę. —

Gdy tak oboje dawali sobie wzajemnie objaśnienia, które długo bardzo trwały bo często nieznajdując słów giestów używać musieli, ażeby się dać zrozumieć, w tem zawołał jakiś głos kobiecy Joasiu! Joasiu. Joasia pożegnała więc czem prędzej Blondyna, porwała Grammatykę ze stolika i znikła. —

Blondyn stał jeszcze jakby przykuty do ziemi, i sam niewiedział co się z nim stało. Jakaś nagła przemiana zaszła w altanie z jaśminu, każdy listek zdawał mu się zieleńszym, pięknejszym, czarownym, a w sercu swojem czuł pewien rodzaj zachwycenia, tęsknoty, której przyczyny odgadnąć niemógł. Siadł na tej samej ławeczce na której ona siedziała, ale zaledwie dotknął się tego miejsca przeszedł go dreszcz niepojęty a przecież przyjemny. Marzyło mu się jeszcze, że ją widzi, że z nią rozmawia, jakby w istocie obecną była. Teraz dopiero z całego serca ubolewał nad tem że nieumie słodko brzmiącej Toskanów mowy. Po-

przysiągł więc sobie, że dzień i noc dopóty Grammatyki Włoskiej z rąk niewypuści dopóki niebędzie mógł powiedzieć pięknej swojej sąsiadce, że.... sam niewiedział co.

Ale gdy porwał za Grammatykę ujrzał że to była zupełnie inna xiążka, że to była Grammatyka francuzka pięknej nieznajomej: Zaledwie śmiał dotknąć się tej świętości, i przeklinał swój los, że jest Panem Le Blond, a nie tą godną zazdrości Grammatyką Włoską, którą Joasia zabrała z sobą i która razem z nią mięszkać odtąd będzie.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Wstyd, Nadzieja i Roskosz.

POWIEŚĆ.

Przez Br: Hr: Kicińskiego.

Dziwaczną losu koleją
Wstyd, z roskoszą i nadzieją
Raz się spotkali na drodze.
„Przyjaciele! jak się macie."
Rzekła Roskosz w złotej szacie.
„Rzadko się coś z wami schodzę.
„Więc jesli wam to przyjemno,
„W dalszą podróż idźcie zemną."

Wezwaniu Roskoszy radzi,
Idą gdzie ona prowadzi.
Roskosz wesoła i żywa,
    Zabawą czas im umila,
A niejedna długa chwila,
    W mgnieniu oka im upływa.
Zaledwie przeszli ćwierć mili
Rzekła im Roskosz po chwili.
    „Jestem wprawdzie pełna żalu
    „Że się z wami rozstać muszę,
    „Ale przysięgam na duszę,
    „Idziecie nazbyt pomału.
    „Więc tak idźdie jak idziecie,
    „Ja wolę prędzej wędrować po świecie.
„Jednak że nim się od was w dalszą puszczę drogę,
„Mówcie! gdzież z wami znowu zejść się mogę.“

„Mnie znajdziesz zawsze — Nadzieja odpowie,
    Gdzie przebywają tkliwi kochankowie.“ —
„A mnie, rzekł Wstyd — już znaleźć ten nie bę-
    Kto się raz zemną rozstanie.“ (dzie wstanie,